

Inauguracja sezonu teatralnego w Zielonej Górze wzbudziła we mnie niezbyt we sole refleksje. Georg Kaiser — autor z nurtu niemieckiego ekspresjonizmu lat dwudziestych należy u nas do rzadko wystawianych autorów — jak do tej pory — grano jego najlepsze utwory. Widocznie jednak się już znużyli, skoro sięgnięto po „Ogrodnika z Tuluzy”. Po co?... Jakież pe wnie raczej za tym przemawiały. Tylko jakie?... Nieliczna, bo zaledwie czteroseobowa obsada?...

Teatr Lubuski coraz mniej szokuje swoim repertuarem, w którym obok „Kupca” Plautusa, „Staroświeckiej komedii” Abramowa czy przygotowanej (na otwarcie dużej sceny) Wyspiańskiego „Warszawianki” oraz zapowiedzi „Wariata i zakonicy” Witkacego, „Wieczoru Trzech Króli Szekspira — egzystują „Laweczka”, „Dno nieba”, „Ogrodnik z Tuluzy”. Czyżby w teatrze tym pokutował ów dawny przesąd, że repertuar ambitniejszy jest dla widzów bardziej wyrobionych, „lepszych”, a ten gorszy dla gawiedzi? Tylko... gdzie ta gawiedź, którą w zachwyt wprawia byle jędrniejsze słowo ze sceny i byle błazenada? Zbulwersowało mnie to przedstawienie, stąd tych kilka gorzkich słów pod adresem teatru. No, ale skoro już wystawiono owego nieszczonego „Ogrodnika” należy pogodzić się z faktem (niezbyt chlubnym, niestety) i zająć się się samym spektaklem, który też, niestety, nie wzbudził mego entuzjazmu.

Mimo wysiłku reżysera — Marii Straszewskiej — żeby grzmiało, huczało i w ogóle było głośno, mimo francuskiej altanki-mieszkania tonącej w drżących listkach i kwiatach (a tam pod spodem, wewnątrz „brud”), mimo wysiłków aktorów. Cóż z pustego nawet Salomon... Choć muszę przyznać, że kilka spraw wzbudziło mój szacunek. Przede wszystkim postawa reżysera. Czulałam — może źle, ale za pisuję to na duży plus — że p. Straszewska zabrakło tu całkowitego przekonania do celowości swej pracy i zaufania do tekstu, który wspierała jak mogła swymi pomysłami (głównie akustycznymi). Przepraszałam, że wypadło to dość ostro i złośliwie, ale nie jest to zarzut z mojej strony. Przez cały czas miałam wrażenie, że p. Straszewska zrobiła spektakl patrząc nań z daleka. Widziałam sporo jej przed stawień wrocławskich i w żadnym nie czulałam aż tak dużego dystansu do własnej pracy. Być może zabrakło jej właśnie owego przekonania... Mimo to spektakl po

prowadziła czysto i klarownie, tworząc z nienajlepszego materiału literackiego skon densowaną opowieść osnutą na kanwie aforyzmu Kaisera „rośliny rosną ponad bio tem”. Powstała wysoco moralistyczna przypowieść, w której zabrakło po prostu czegoś naturalnego, ludzkiego. Postacie jak marionetki pociągane za sznureczki grze cznie i poprawnie wykonywały swe teatral ne zadania. Wypadło to sztucznie i niepr awdziwie, choć sytuacja i konflikt w sztuce są bardzo „żywcio”, o czym świadczą także i dzisiejsze kroniki sądowe. I pod czas, gdy ekspresjonizm którego przedst awicielem jest Georg Kaiser, ciążą mocno ku przesadzie, przyrywaniu siły namię ności, prześlaskawieniu, często po prostu efekciarstwu tutaj było zbyt chłodno. Mo ment popamiętania zbrodni przez Francois

letą spektaklu. Niszczy na dodatek nie samo zło, lecz tą, która pozbaawiła go złu dzeń i otworzyła mu oczy. A wszystko w spowiej w kwiataki i listki monetowskiej (w nastroju) altance, do której nie miała bym pretensji, gdyby nie ów straszliwie żoły (w teście czerwonny) fotel. Br... O calenie przez morderstwo pie jest znowu czymś tak banalnym, aby nie potrzebo wało żadnych racji. Nawet tak podstawo wej jak coś, co się chciało ocalić. Tutaj to morderstwo nie jest ani ocaleniem, ani na wet oczyszczeniem. Więc dlaczego? Po co? — Ponad tym błotem nie rośnie żadna ro ślina, nawet najbardziej rachityczna.

Pozostaje sprawa czwórkę aktorów, któ ra zmagala się ze sztuką. Nie przekonala „nie wzniolsia się ponad tekst”, jakby pow iedzial Boy. Teresa Lisowska braki war zatawe i jakas nawet nieporadność na scenie nadrabiala wdziękami. Smukladi wiotka, chwilami tak eteryczna, ze byle powiew mogiby ja zdmuchnac, tracila wszedzie tam, gdzie zostawala sam na sam ze slowem i z widownia, a takze w momentach ekspresji, ktore w jej wykonaniu razily swa sztucznością. Jakby nalozono nań przyciasna suknie. Interesujaca w momentach lirycznych, swawolnej zabawy, sztywina, gdy chodzilo o wygranie swych racji, o ratowanie zagrozonego bytu. Chwilami robila wrazenie jakby sie po prostu bala mocniejszego slowa czy gestu. Nalw nu chlopek-roztropek Francois w wykona niu Jana Kowalskiego nie byl owym nalw niaczkiem, lecz przywdziala chwilowo jego maske, przyswoil sobie sposob mowienia i poruszania sie, ale obec mu zupełnie bylo tego typu myslenie. Aktor z nieukrywanym sarkazmem przygladal sie sobie w tej roli i byloby to nawet interesujace, gdy by caly spektakl utrzymano w tym tonie. Najciekawsza dla mnie byla Krystyna Horodynska w roli Panj Teophot. Nieutulona w zalu po malzonku wlascicielka dochodo wego bardelu, ktora przybyla do swego majajku, aby ukocic bol. A najlepszym ukojeniem — mimo szczerego zalu po zmar lym malzonku — jest meczyzna. Dosta tecznie najwny i glupi, zeby nie widziec tego, co chce sie ukryc. Wystarczajaco o raniczony, aby stac sie bezwolnym narze dziem w rekach sprytnej i ponetnej ko biety. Nie podobala mi sie Krystyna Horodynska w dialogu z Janine, natomiast lad nie byly zarysowane sceny z Francois. Po wabna, zaborcza, wygrrywajaca cala g me kobiecych walorow, zbyt wspaniala dla biednego Francois, ladnie operowala glo sem, oszczedna w geście; samica poszuku jaca samca.

I tylko jedno pytanie: co z tego wynika? Czyba zbyt malo, aby uzasadnic wystawie nie tego utworu.

JUSTYNA HOFMAN

I co z tego wynika?

pozbawiony był jakiegokolwiek ekspresji i namiętności. A przecież Pania Teophot za bit Francois pod działaniem chwili, nie kontrolowanego impulsu, przekonania w danym momencie, że jest to jedyne wyjście z sytuacji, że jedynie w ten sposób da się jeszcze coś ocalić dla siebie, a wszyscy winni poniosą karę. Słabości tekstu nie uratowała tu ani sprawna reżyseria (na szczęście Maria Straszewska stonowała mocno ów ciężki niemiecki ekspresjonizm i nie mieliśmy na scenie „przyjemności” ogładania duszenia połączonego z dzikimi wrzaskami ofiary i sapaniem mordercy itp.), ani aktorstwo.

Sprawa morderstwa wydaje mi się, zresztą, najslabsza w całości spektaklu. Przede wszystkim brak tu jakiegokolwiek moty wacji. A raczej — ona istnieje, ale poza tekstem i poza przedstawieniem. Bo cóż robi człowiek, którego całe życie nagle ru nęło, któremu zabrano wszystko, co kochał i w co wierzył, którego brutalnie na uczono, że zaufanie do drugiego człowieka to tylko złudna literatura, bo prawda jest zupełnie inna?... Jakoś się z tym zma ga i — będąc nawet tak naiwnym i ograniczonym jak ów Ogrodnik — dochodzi do alternatywy: morderstwo lub samobój stwo. Czasem z niej wybiera, czasem zdo bywa się na przeanalizowanie procesów, które doprowadziły do tej ruiny i znajdu je jeszcze jakąś wartość, ideę, która pozwa la mu uniknąć katastrofy. Tak, ale Francois po prostu nie myśląc, nie analizując, nie przeżywając żadnych rozterek oś tak sobie zmierzając w celach erotycznych do śladziku z Panią Teophot po prostu ją dusi. Spokojnie i w milczeniu, co jest zaskoczeniem dla publiczności i... za-